

Rafał A. Ziemkiewicz
Jawnogrzesznicza

Tłum, morze ludzi — rany boskie, takiego mrowia chyba jeszcze świat nie widział. Stoimy przy bramie od czwartej rano, teraz jest już po południu i cały czas, bez chwili przerwy, przepływa wokół nas potężna rzeka rodaków. Rozdwaja się zaraz za bramą i ginie gdzieś za naszymi plecami, wtłoczona w przejścia i sektory. Bram jest pięćdziesiąt osiem, wszystkimi wlewa się nieustannie ten żywioł i końca nie widać. Za wysoką na cztery metry barierą z gęstej, podłączonej do prądu siatki, za poprzedzającymi ją kolorowymi szlabanami wciąż tłum. Z obłoków musi to niesamowicie wyglądać.

Nie przypuszczałem, że będzie ich aż tylu, nawet wliczając Polonusów z całego świata. Wałą przed siebie z wyciągniętymi w rękach kartami wstępu, pełni radosnego podniecenia. Niosą jakieś transparenty, chorągwie, święte obrazy... Bez końca. Aż dech zapiera. Jedynie nasze ponure gęby, moja i Bibola, nie pasują zupełnie do ogólnego nastroju. No ale my tu jesteśmy tylko elementem pejzażu, takim samym jak te wszystkie szlabany, barierki i łopoczące chorągiewki. Po prostu sterczymy przy bramie, od wewnętrznej strony, zacięci w ponurym milczeniu.

Właściwie nie bardzo wiadomo po co. O żadnym sprawdzaniu kart nie ma w tym tłumie mowy. Cała reszta Milicji Bożej dawno już dała nogę, żeby korzystając z mundurów, przepchać się jak najbliżej ołtarza. Zostali państwowi gliniarze — jako etatowi grzesznicy od brudnej roboty nie mogą przekroczyć bariery otaczającej poświęconą ziemię. Oni pilnują tego tłumu, tu i dalej, na dworcach, szosach i lotniskach. My nie mamy nic do roboty. Lecz stoimy, bo ostatni rozkaz był stać, a ja osobiście nie mam już innego wyjścia, tylko sumiennie wypełniać rozkazy.

Bibol pewnie myśli to samo, ale nie wiem, nie rozmawia ze mną. I czego się wścieka? W końcu to wszystko od niego się zaczęło. Od tego, że się jak zwykle schlał, spóźnił na służbę i nie mogłem zejść z posterunku.

* * *

To było jakieś dwa, trzy miesiące po ogłoszeniu terminu Nawiedzenia. Roboty opór, cały gmach komendantury episkopatu pękał od interesantów. Obozowali pod budynkiem, czekali tygodniami na swoją kolejkę — regularne oblężenie, głównego wejścia w ogóle nie dało się używać. Na dole zajmowali się nimi niżsi rangą selekcyonerzy. Tych nielicznych, których nijak nie dawało się spławić, przepuszczali na górę, do kolumnowego gabinetu, gdzie za ogromnym biurkiem, pod wielkim krucyfiksem i rozciągniętym na całą ścianę białe — czerwonym płótnem, przyjmował ich Jego Świątobliwość. A za plecami Jego Świątobliwości prężył się w postawie zasadniczej odpicowany na galowo funkcjonariusz Milicji Bożej, z akselbantami i złotym posochem Służby. Czyli ja.

Delikwent, oczywiście, miał wszystkie papiery w porządku. Kartki w komplecie, stemple jak należy, plik cegiełek na bazylikę, wszystkie dobrowolne ofiary uiszczane terminowo i jeszcze kilka mocnych poświadczeń prawego żywota. Ale tutaj to nie robiło wrażenia. Jego Świątobliwość przerzucił wszystko niby to z uwagą, po czym sięgnął po przyniesiony przez diakona wydruk z sekcji rachunków sumień głównego teokomputera. Wysłuchał cierpliwie dukanej przez starucha supliki, pokiwał głową, upił herbaty i znienacka przygwoździł go pytaniem:

— Czy to prawda, że szesnastego grudnia 1995 podczas rozmowy w toalecie szkoły nazwaliście swego księdza katechetę „głupim katabasem”?

Gdy mówił „głupi katabas”, zrobiłem regulaminowe pół kroku do przodu, wcisnąłem taster ustawionego na biurku służbowego różańca i przytrzymałem go przepisowe (błuznierstwo lżejsze, cytat) dwadzieścia pięć zdrowasiek. Do tego właśnie służyłem w tej obitej bielą i szkarłatem sali. A także do otwierania i zamykania drzwi przed i za starającymi się o wstęp na trybunę honorową.

Suplikant poblądł i przełknął ślinę z odgłosem, który w zalegającej gabinecie ciszy zagrzmiął jak skręt kiszek wieloryba.

— No, jakże to wtedy było? — rzucił łagodnie Jego Świątobliwość po jakimś czasie.

— Ja... tak, Wasza Świątobliwość, przypominam sobie teraz. Ale ja wcale nie wiedziałem, co to znaczy...

— Hm... na rok przed maturą? No dobrze, nie wiedzieliście... No ale teraz już wiecie?

— Tak, Wasza...

— I na pewno szczerze żałujecie, prawda?

— Tak, Wa...

— Niemniej jednak — uciął Jego Świątobliwość — nie wyświadczyliście się dotąd z tego upadku, nie odprawiliście pokuty...

Pełna skruchy twarz suplikanta wystarczała za dalszą rozmowę. Jego Świątobliwość odłożył wydruk i powoli przetaił dłonią twarz gestem człowieka padającego ze zmęczenia.

— Zrozumcie moją sytuację — podjął wreszcie. — Trybuna mała, a żniwo wielkie. A tak byliście blisko... Szkoda, wielka szkoda. — Uniósł głowę i potrząsnął nią parę razy. — No nic, może jednak coś się da zrobić. W końcu człowiek jest niedoskonały. Dam wam pismo do parafii i jak tylko tę sprawę uzupełnicie, złożcie aneks do podania w kancelarii. Powołacie się na mnie... No, tak, Bóg z wami.

— I z Waszą Świątobliwością — suplikant skłonił się pokornie, wstając z klęcznika. Jego Świątobliwość wypełnił szybko formularz, podał mu i skinął na mnie ręką, wyciągając wskazujący palec. Skiniecie oznaczało „wyprowadzić”, palec — „nie wzywać następnego”.

Zawsze byłem pełen podziwu dla dyplomatycznych talentów Ojców Selekcjonerów. Parę słów i gość, zamiast się zżymać, że go odwalono, odchodził cały szczęśliwy. Ma kartkę, znaczy się — jest szansa. Dbają o ludzi, sam Jego Świątobliwość robi, co może, żeby mu pomóc. Każdy może przyjść i prosić, żeby go dopuszczono przed oblicze Pana. I każdy zostanie wysłuchany.

Inna sprawa, że nie zdarzyło się — przynajmniej na mojej służbie — żeby ktokolwiek z tych przychodzących z ulicy, bez żadnego pchania, zdołał się dobić swego. Ale w końcu wszystkich wpuścić nie sposób.

Zrobiłem w tył zwrot, odeskortowałem wzruszonego okazaną mu troską suplikanta do drzwi i wyszedłem za nim.

Na korytarzu czekało ich jeszcze ze dwudziestu, jeden poderwał się energicznie. Zatrzymałem go ruchem dłoni.

— Przerwa — oznajmiłem. — Jego Świątobliwość przyjmie następną osobę za piętnaście minut. Proszę...

Urwałem, widząc zamieszanie na schodach. Spomiędzy kilku porządkowych, wyraźnie usiłujących ją zatrzymać, wyprysnęła nagle jakaś dziewczyna i runęła wprost na mnie z siłą i szybkością armatniej kuli. Zdażyłem tylko zaprzeć się o framugę — omal mnie nie rozdeptała, spłaszczyła się na mojej piersi, aż poczułem ciepło w brzuchu. Jak piskorz starała się za wszelką cenę prześlizgnąć do gabinetu.

— Proszę, proszę, niech pan mnie puści — usłyszałem tylko, w przelocie mignął mi ostry, jakby gadzi profil i sztorm rudawych włosów. Z trudem zdołałem zatrzymać pracę do przodu krągłości. Chwilę potem dopadli nas porządkowi.

— Nie robić zamieszania! — wysapał wściekle jeden z nich, wykręcając jej fachowo rękę. Powlekli dziewczynę z powrotem w kierunku schodów, trochę się szarpała, ale tylko na początku. Zresztą nie przyglądałem się. Nie takie rzeczy się widziało.

— Tak... — Przyglądałem odruchowo mundur. Suplikanci zdawali się w ogóle nic nie dostrzegać poza sufitem i swoimi kamaszami. — Proszę czekać.

Wróciłem do gabinetu, zatraskując ciężkie dębowe wierzaje. Jego Świątobliwość zniknął już, biało — czerwone płótno kołysało się tylko lekko. Odetchnąłem, ocierając pot z czoła.

Chwilę później z małych drzwiczek w przeciwległej do biurka ścianie wychyliła się głowa Bibola. Mimo dyskretniej warstwy pudru pod oczami jego oblicze nadawało się na okładkę podręcznika o kacu. Świetna ozdoba gabinetu.

Rozejrzał się i podszedł ociężale. Bez słowa rzuciłem mu posoch.

— Masz szczęście, że jesteśmy w świętym miejscu.

— Dobra, dobra — zachrypiał. — Pogadamy, jak się podleczę.

— Aha. Zadzwoń, jakby ci się przydarzyło. Nawet w środku nocy. Muszę cię jeszcze zobaczyć trzeźwego, zanim wszyscy pójdziemy do nieba.

— No wiesz! — obruszył się. — Pan wyniósł nas ponad inne, niewierne narody, wybrał na swe powtórne przyjście i ja mam chodzić o suchym pysku? Co by ze mnie był za Polak?

* * *

— Do sektora P-4?

Unoszę wzrok i tracę kilka sekund na wydobycie pytającego z rozfalowanego tła. Gdy się stoi tyle godzin w tłumie, nie należąc do niego, ludzie dookoła przestają istnieć, stapiają się w jednolitą masę.

Typowy wiejski księżulo o prostodusznej, tryskającej szczęściem twarzy, wiodący swoje stadko owieczek z flagami, transparentami i pętami kiełbasy w siatach.

— Prosto, w trzecią alejkę w prawo i potem czwartą w kierunku ołtarza — odpowiadam zupełnie bez sensu. Wszystkie alejki stratowano już dawno, po wyznaczających je barierach zostało wspomnienie — pewnie naród rozebrał na relikwie. Obowiązuje pełny spontan, gdzie się kto wepchnie. Ale to pytanie daje mi na moment poczucie wielkiej misji. Wiem, po co mnie tu postawiono. Żeby odpowiadał na pytania, gdyby ktoś miał ochotę je zadawać.

Coś dziwnego. Dopiero po chwili łąpię co: cisza. Umilkły chóralne modlitwy z gigantofonów, od wielu godzin padające w monotony szum sunącego tłumu. Ale tylko na sekundy. Ktoś w głośnikach intonuje ochryple i zaraz nad rozległymi jak cały świat błoniami zrywa się nierówne kobiece zawodzenie:

Nad Częstochowa płyną okręta
módl się za nami, Panienko Święta...

* * *

Właśnie tę pieśń zasuwał chór archikatedralny, gdy automatycznie włączył się mój telewizor. A potem znajome, codzienne: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wita państwa w imię Boże Dziennik Telewizyjny. W dzisiejszych wiadomościach między innymi: przygotowania do Nawiedzenia Pańskiego; rozmowa z przewodniczącym Związku Prawdziwych Polaków i Katolików; grzeszne ludy Wschodu i Zachodu z podziwem i zazdrością mówią o łasce, której dostąpił nasz bohaterski naród. Zaczniemy jak zwykle od wieczornej modlitwy z kaplicy Telewizji Polskiej. Halo, Woronicza...”.

Przyglądała się ze zdumieniem, jak podchodzę do telewizora i gaszę obraz. „To wam tak wolno?”, wyczytałem w jej spojrzeniu.

— Nam to wszystko podają na odprawach — rzuciłem, wruszając nonszalancko ramionami. — Mamy własnego sufragana.

— Ale ja...

— Nie bój nic — dodałem protekcjonalnie, sięgając do barku. — Jesteś ze mną. Czego się napijemy?

Gapiała się na mnie niemal z uwielbieniem. Biedna dziewczyna, swoją drogą. W galowym mundurze, z szamerunkiem i ze złotym posochem w garści wzięła mnie za Bóg–jeden–wie–kogo. Niby że jak tak ubrany gość łązi po komendanturze, jeszcze po gabinecie Jego Świątobliwości, to musi być jakaś lepsza fisza. Teoretycznie tak. Nie pomyślała tylko, sierotka nieszczęsna, że Ojcowie Selekcjonerzy potrzebują też facetów do zamykania drzwi i kręcenia różańcem.

Oczywiście powinienem jej to wyjaśnić. Od razu, jak tylko zdołała mnie wytropić — swoją drogą, nie wiem, jak jej się to udało. Podkusiło, diabli nadali, zachciało mi się. Na parę tygodni przed Nawiedzeniem o okazję było coraz trudniej, a dziewczyna miała coś w sobie. Szczupła, o opływowych kształtach, z lekko rudawymi włosami i należycie uwypuklonym przedsięwzięciem... tylko z twarzy przypominała trochę pterodaktyla, fakt. No ale w końcu te brzydsze też ktoś musi.

W każdym razie, gdy zbliżyła się na parking, otworzyłem drugie drzwiczki i rzuciłem „wsiadaj”. Wskoczyła do wozu, aż się za nią zaświeciło.

A teraz stała przede mną w moim służbowym mieszkaniu na rogu Świętokrzyskiej i Księdza Piotra i ciągle uważała mnie za kogoś, kto dużo może. A ja bezczelnie korzystałem z sytuacji.

— No. — Podałem dziewczynie kieliszek i zaprosiłem ją gestem na fotel. — To co jest?

— Widzisz... — zaczęła nieśmiało.

— Widzę. — Przekoziołkowałem i od razu nalałem sobie następny, grunt to się dobrze rozgrzać. — Masz pojęcie, ilu jest chętnych na trybunę?

— Na trybunę — powtórzyła gorzko. — Nie, po prostu chcę miejsce gdzieś w miarę blisko ołtarza. Przynajmniej... w ogóle.

Zwykle karty wstępu rozdawali po parafiach jak leci. Nigdy nie przypuszczałem, że ktoś może mieć z tym kłopoty.

— Ja muszę — zapewniła mnie żarliwie. — Mam wszystkie papiery, chcesz zobaczyć? — Sięgnęła do torebki i podała mi plik spiętych gumką kwitów. Zacząłem je przeglądać z mądrą miną. Kartki od spowiedzi, świadectwa z procesji, książeczka eucharystyczna i tak dalej — wszystko podstemplowane i w pełnym porządku. Jak u każdego.

— Jak to sobie załatwiłaś?

Splonęła się. Trafiony — zatopiony.

— Daj spokój, rozmawiajmy szczerze. — Potarłem dłonią twarz. — Spróbuj mnie zrozumieć, to nie jest łatwa sprawa. Muszę wszystko wiedzieć, chyba jasne?

Patrzyła w podłogę.

— Kumpel narzeczonego — rzuciła wreszcie.

— Na przyszłość dobieraj sobie narzeczonych z lepszymi znajomościami. — Pokiwałem głową, podsuwając jej kwestionariusz nabożeństw niedzielnych. — No, popatrz sama. Wszystkie msze z pół roku, ten sam stempel, ten sam tusz, podpis tym samym pisakiem. Kto się na to nabierze?

Tak naprawdę to była to normalka i nikt by nie zwrócił uwagi, ale ona wyraźnie nie miała o niczym zielonego pojęcia. Wyglądała na kompletnie załamana. Popatrzyła na mnie tak bezradnie, że aż się wzruszyłem.

— Możesz mi pomóc? — spytała cicho. Wstałem i zacząłem zasłaniać okna.

— Milicja Boża nigdy nie odmawia pomocy bliźniemu — oznajmiłem sentencjonalnie, dociągając starannie story. Naprzeciwko mnie mieszkała taka jedna wredna starucha z

lornetką. Parę miesięcy wcześniej przylukowała, jak sąsiad dogadzał żonie za dnia, i wlepili mu pielgrzymkę.

Przeszedłem po omacku przez pokój i zapaliłem lampę, odwracając się w stronę dziewczyny.

A potem szybko sięgnąłem po kieliszek, żeby przepłukać zaschnięte gardło.

Aseksualny bury sweter i gruba spódnica, standardowy strój Skromnej i Pracowitej Polki, zniknęły za oparciem fotela. Stała przede mną w koronkowej bieliźnie, jak w jakimś filmie z Upadłego Zachodu, wartym pięćset zdrowasiek za każdy kadr. Podpłynęła bliżej, bardzo blisko, unosząc ku mnie tę swoją pterodaktylą buzię.

— Proszę cię, pomóż mi. Musisz mi pomóc. Biedna kretynka. Trzeba było wyrzucić ją z miejsca. Delikatne dłonie przesuwają się pod moją koszulą, coraz niżej, w dół brzucha. Za nimi wędrowała muskająca lekko, rudawa grzywa.

— Błagam — powtórzyła, rozpinając zrećcznie ostatni guzik. — Pomożesz?

Odetchnąłem ciężko, wplątując dłoń w jej włosy.

— Jasne. Trafiłaś do właściwej osoby, kochanie.

Niewiele brakowało, a zapomniałbym z tego wszystkiego nastawić różaniec. Odsunąłem się w ostatniej chwili.

— Idź do łóżka — szepnąłem, odpinając kasetę różańca od pasa i podłączając ją drżącymi dłońmi do domowego gniazda teokomputera. Dobra milicyjna maszynka na japońskich podzespołach. Stały, biejący kontakt z rejestrkami teokomputera — żrenica wiary i wejściówka do nieba. Poszukałem w tabeli Szóstego Paragrafu, „cudzołóstwo”, i nastawiłem na tarczy swój mnożnik, spory — w końcu tylko młodszy sierżant, chociaż z komendantury. Ale mimo to dodałem jeszcze dziesięć procent wzmocnienia, bo było mi trochę głupio wobec tej dziewczyny.

Maszynka zagrała śpiewnie, wchodząc z miejsca na wysokie obroty.

— No dobra — oświadczyłem, siląc się na spokojny głos. — Rozpatrzmy sprawę.

Któryś z kumpli mówił kiedyś, że najbardziej warto właśnie z tymi brzydszymi. „Takie lale, kurde, to możesz na uszach stawać, a ona nic, królewna znudzona. A brzydka to się ucieszy, doceni... mówię ci, mały, zupełnie co innego”. Dopiero wtedy było mi dane docenić głęboką, życiową mądrość tych słów.

Długo, bardzo długo w pokoju słychać było tylko nasze gorące oddechy, poskrzypywanie łóżka i świergot różańca.

Gdy postękiwania i skrzypienie wreszcie ucichły, podniosła się z wdziękiem i w drodze do łazienki nachyliła nad czytnikiem teokomputera.

— Ty wiesz? — Odwróciła ku mnie płonące oczy. — Wychodzi, że jeśli jeszcze możesz, to możemy jeszcze ze dwa razy.

* * *

Śpiew znówu przycicha. Teraz ktoś przemawia. Właściwie należałoby powiedzieć: każe. Dałbym głowę, że to nasz komendant główny. Przez piętnaście minut podgrzewa ogólny entuzjizm, wyciągając z grobowców wszystkich możliwych świętych, błogosławionych i bohaterów. Przypomina mi się, jak parę dni temu, wywalając mnie z komendantury, objaśniał podniesionym głosem, kim jestem, na czym żołądźce pozostają oraz przez kogo i w jakich okolicznościach zostałem spłodzony. Klął przy tym tak, że niemal nie zdejmował ręki z różańca. „Na takich skurwysynów to tylko ogień piekielny i wieczne potępienie! Kto się raz zaprze Pana, nie ma dla takiego przebaczenia!”

A potem odwrócił się i popatrzył na zdobiący ścianę portret następcy świętego Piotra, z miną „no, dopieprzyłem grzesznikom jak trza, śpij spokojnie”.

Teraz mówi wzniosie i z patosem. O cierpieniach i ofiarach, o Przedmurzu, o Chrystusie Narodów. Wreszcie dochodzi do ostatnich lat, do tego, jak pomimo technologicznego zacofania i świętego ubóstwa nie straciliśmy z oczu najważniejszego celu. Opowiada o bohaterstwie i męczeństwie założycieli Milicji Bożej, o wyzwaniu się z tyranii zeświecczenia, konsumpcjonizmu i laickich rządów. Świat z nas kpił, Upadły Zachód, gnijący w rozwydrzeniu i bogactwie, wytykał palcami, Azjaci lekceważyli, murzyńscy celnicy trzepali bezlitośnie na granicach — ale my walczyliśmy, wierzyliśmy gorąco i nie uroniliśmy naszego skarbu.

Wszyscy mają łzy w oczach. Aż czuć spotężniałe nad tłumem uniesienie, tornado serc, wciąż narastające bardziej i bardziej. Długie, niemilkące oklaski — próba generalna tych, które bić się będzie Panu. Oto nadeszła nagroda za te zasrane tysiąc lat z hakiem, za ten cały syf, życie na zadupiu świata, wiecznie w ogonie. Naród Wybrany, nie wierzyłeś w to, człowiek? Ostatni stali się pierwszymi. A ja stoję tutaj posłuszny rozkazowi. Hen za horyzontem. Pewnie są tacy, co mają gorzej — chociażby ci gliniarze za barierą albo inni funkcjonariusze państwowi, przeżytki obalonego świeckiego ustroju, dogląający teraz wyludnionego kraju. W końcu ja stoję jeszcze na poświęcanej ziemi, tygodniami obchodzonej w procesjach i egzorcyzmowanej przez kardynałów i biskupów. Ale to niewiele znaczy. Pan mnie i tak tutaj nie dostrzeże. Pewnie lepiej dla mnie.

Zostawiam zubożniałego na wszystko Bibola i, przepchnąwszy się przez tłum, włączę na rosnące opodal rozłożyste drzewo. Wyteżam wzrok aż do bólu, usiłując dostrzec przemawiającego. Ale z tej odległości widzę tylko gigantyczny, okraczający zalany ciżbą horyzont transparent „Polonia semper fidelis”. Kumpel z Wydziału Propagandy opowiadał, że była o ten napis zdrowa przepychanka. Stańło na kompromisie: wszystkie „P” i „S” przerobiono na kotwice, a do każdego „L” dodano chorągiewkę.

Przejeżdżam wzrokiem po zapełnionych głowami błoniach, po transparentach, chorągwiach, wstęgach i co tam jeszcze nad tym morzem powiewa. Mogłem tam stać, tuż przy ołtarzu, gdzie koledzy z komendantury obstawiają trybunę honorową i łożę gości zagranicznych. Mogłem...

Obracam się na gałęzi i spoglądam z wysokości za barierę. Kordony gliniarzy odwaliły tam dobrą robotę, trzeba przyznać — bez nich ten tłum chyba nas zatratował. Ale w pejzażu za bramą — „tam gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów”, jak to określił na odprawie szef ochrony porządku w sektorach zewnętrznych — jakby się coś zmieniło. Wyraźnie widać skupiający się w jednym miejscu tłumek bezbożników, nie wiem wokół czego. Gdzieś tam, w tym zgrzytaniu zębów, kręci się pewnie mój Pterodaktyl. Ciekawe, niedawno miałem ochotę urwać jej łeb, a teraz niemal się roztkliwiam na samą myśl, że w sumie co ona winna, sam z siebie zrobiłem durnia. Pewnie ma mnie za ostatniego zła — masa, który ją wykorzystał i nawet palcem nie kiwnął, żeby pomóc.

Robi mi się jakoś głupio, złączę szybko z drzewa, „...w tym narodzie, w tym jedynym, nie znalazł Pan zatwardziały grzeszników. Nie splugawili bezbożni tej ziemi. I dlatego rzekł Pan: przyjdę do tego ludu...” — padają z gigantofonów słowa na oczarowany chwilą tłum.

* * *

— Powiedz mi — odezwałem się wreszcie, zapalając papierosa — dlaczego... musisz to załatwić w taki sposób?

— Muszę Go zobaczyć. I żeby On mnie zobaczył — szepnęła w moje ramię.

Milczała długo, wreszcie podjęła z westchnieniem.

— Wyskrobałam kiedyś dziecko. Miałam siedemnaście lat, nie pomyślałam, tamten nalegał, żeby szybko, no i... wiesz, jak to bywa. Bałam się.

— Jasne. Rozumiem.

— Guzik tam rozumiesz. Za to akurat już dawno zaliczyłam pokuty, mam poświadczenia. Autentyczne. Sprawy nie było. Tylko ja jedna jeszcze o tym pamiętam.

— To dlaczego nie dali ci karty w parafii?

— Proboszcz. Widzisz, ja już taka jestem... Czasem nie umiem się powstrzymać. Cholera, nawet teraz zapomniałam, po co tu przyszłam. Wiesz, był taki facet. Znalazła się jakaś swołocz, zakapowała do parafii, no i mi dowalili. Jawnogrzesznica, tak to się po waszemu nazywa?

— Uhm. Szósty paragraf, artykuł dwa, podpunkt pierwszy ustępu drugiego.

— I w dodatku recydywa. Podpadło pod Publiczne Zgorszenie.

Tak. Publiczne Zgorszenie to jedna z najpaskudniejszych spraw. Ekspiacje trzeba załatwić przez kurię, a to trwa.

— A on?

Parsknęła jak kotka.

— Ty chyba jesteś bardzo młody, wiesz? — rzuciła. — On jest u nas fisza, ojciec dzieciom, szanowany obywatel i tak dalej. Pewnie i tak zdrowo wybulił, żeby przy — dusić sprawę. Myślisz, że jeszcze by narażał swój prestiż ujmowaniem się za jakąś ścierką, z którą mu się zdarzyło zapomnieć?

Westchnęła.

— On na pewno nie miał kłopotów z wejściem.

— Mimo wszystko powinni ci dać kartę pokutną, jak znam przepisy. I z tym już należy ci się wstęp.

— Nie wiem... Głupio pograłam. Jak teraz się to wszystko zaczęło, poszłam do proboszcza, strasznie mnie zbluzgał. I ja jego też. Wyrwało mi się, co myślę o tym całym cyrku — pamiętam, że odruchowo wzdrygnąłem się po tych słowach, ale nic nie powiedziałem. — Wstawił mi z miejsca takiego haka w papiery, że w ogóle nie było o czym rozmawiać. Pomyślałam, że może się dać coś załatwić w Warszawie...

Publiczne Zgorszenie i Bluźnierstwo. Nieźle. Naprawdę nieźle.

— Ale to wszystko nieważne, wisi mi. Tylko... Czasem tak myślę, że nadal nie jestem w porządku. Bałam się, nie myślałam, co robię. A teraz mnie to męczy. Nie wiem... Chciałabym tylko, żeby On mnie zobaczył.

Żeby mi pomógł o tym nie myśleć. Chyba nie wyrzuciłby mnie za drzwi tak jak proboszcz. Co? Zastanawiałem się.

— Pewnie gadam głupoty, co tam jakaś idiotka może wiedzieć o tajemnicach wiary... Po prostu sama nie wiem, czego chcę. Załatw mi tylko wejście. Proszę, załatw to.

„Jesteście Milicją Bożą i nie możecie znać pobłażania dla grzechu. Gdybyśmy kiedykolwiek pobłażali grzesznikom, nasz naród nie byłby tym, czym jest”.

— Zostaw mi te swoje papiery. Zrobię, co będę mógł. Sam się zdziwiłem, jak szczerze to zabrzmiało.

— Musisz już iść — dodałem po chwili. — Nasze różańce są lepsze od księżowskich, ale gdybyś miała zostać na noc, musiałbym szukać kapelana.

Zostawiła po sobie ciepłą poduszkę i jakiś nigdy dotąd niezaznany, wgryzający się w duszę niepokój.

* * *

Słońce pochyla się coraz niżej nad horyzontem. Wbite w niebo oczy. Ostatnie chwile. Nawet ja powstrzymuję oddech. To już za moment. Zaraz.

Zrobiło się pusto i spokojnie, kto miał wleźć, wlaź i rozpląszczył się na pleksiglasowej barierze otaczającej sektory wewnętrzne albo na plecach poprzedników. Sprzed bramy zwijają się ostatni stolikarze. Niektórzy próbują zabrać cały majdan ze sobą, Bibol

stentorowym głosem przypomina kilku takim, jak to Pan osobiście swego czasu nakopał Żydom za spekulowanie na świętym terenie. Inni ładują jedynie co lepszy towar w kieszenie, zostawiając za barierą rozłożone na gazetach wzdłuż drogi plastikowe Matki Boskie.

Dookoła pustka, tylko bariera, brama i my. Czas już zupełnie przestał istnieć. Modłę się sam, bez różańca, ustami, w których czai się gorycz. Nie chce mi się kląć siebie i parszywego losu, nie chce mi się patrzeć z daleka na plecy miłszych Panu niż ja. Stoją jak posągi, jakby dusze już z nich powychodziły i zleciały się ku środkowi błoni, gdzie strzela w niebo powitalny ołtarz. Dożyć tej chwili... tak, zostało nam to dane.

Zgodnie z instrukcją ryglujemy wrota na amen. Policjanci porozłazili się, odpoczywają. Czego ci tam tak się zleźli w kupę? Jakby kogoś słuchali. Nawet gliniarzy w tym zbiegowisku coraz więcej. Jakiś wichrzyciel, bluźnierca? Łapie się czasem takich. Nawet w ostatnich tygodniach. Opowiadali mi chłopcy z operacyjnego, jak przycięli jednego gościa, bezczeszczącego powitalne plakaty „Rzekł Pan: przyjdę do ludu mego, który się nigdy mnie nie wyparł” dopiskiem: „aby mnie po raz wtóry ukrzyżował”. Swoją drogą, trudno wyczuć, o co takim ludziom może chodzić.

I gdzieś tam, pośród nich, płacze się pewnie ta idiotka.

Ani tu, ani tam, pośrodku, między bezbożnymi a ludem bożym — bo rozkaz jest rozkaz, stać i pilnować bramy. I tak mają szczęście, że jest ich tak niewielu. Bo gdyby było więcej, Pan mógłby nie przyjść. To wszyscy wiedzą, dlatego przecież wybrał nasze święte ubóstwo, a nie żaden z bogatych krajów Upadłego Zachodu.

Ale gdyby nie przyszedł, to marny byłby ich los. I mój — w końcu jestem teraz zwykłym posterunkowym, po degradacji z komendantury i z hakiem w papierach. Zwykłym łapaczem bezbożników i grzeszników.

E, pieprzy człowiek głupoty od tego całodziennego stania. Jak by mógł nie przyjść, skoro wszystkie terminale sieci teokomputera potwierdziły Nawiedzenie? Teokomputer się nie myli. Nawet ci mądrale z Upadłego Zachodu przyznają, że system oddziaływań wchodzi w obszary zamknięte przed ludzkimi zmysłami. Niedługo będzie po wszystkim.

Niedługo. Podnoszę do oczu zegarek. „Składamy u Twych stóp, Panie, nasze cierpienia, nasze zasługi, naszą pokorę i wyrzeczenia...” — powtarza miarowo chór gigantofonów. Powtarza po raz trzeci czy czwarty cały rytuał Oczekiwania, opracowany przecież co do słowa i wyliczony co do sekundy.

Coś mi puchnie w gardle, czuję drżenie całego ciała. Ja — grzesznik depczący poświęcaną ziemię.

Opieram się ramieniem o skrzydło bramy, Bibol przechadza się wściekły, aż iskrzy. Patrząc to na bezbożnych, zupełnie już ignorujących Nawiedzenie, to na tłumy wiernych i rozpaczliwie staram się nie dopuścić do siebie tej myśli. W końcu, żeby zająć czymś uwagę, zaczynam znowu swoje rozpamiętywania. I znowu wracam w nich do tej dziewczyny.

* * *

Nie wiem, nigdy nie będę wiedział, co mnie do tego podkusiło. Żadne tam wyrzuty, że zbijałem panienkę — wielka mi sprawa, akurat. Ostatniego parafianina nie czekałoby za to więcej niż krótkie kazanie, a w Milicji załatwiało się takie rzeczy w minutę osiem. Chciało mi się błysnąć talentem do załatwiania spraw, jaki to bystry jestem. Wszyscy kumple coś tam komuś załatwiali, to odpust, to zwolnienie od dobrowolnych ofiar, to zagraniczną pielgrzymkę, a ja jeden miałem być gorszy? Wziąłem te jej papiery i poszedłem do takiej jednej znajomej z rachunków sumień sprawdzić, co się da zrobić.

Właściwie sama sobie była winna, mogła pomyśleć o tym wcześniej. Publiczne Zgorszenie i Bluźnierstwo to ciężkie paragrafy, ale wszystko jest kwestią czasu. Z kartą pokutną trzeba się zdrowo nachodzić, podania się muszą odleżeć — przy najlepszych pchaniach potrzeba na to

miesiący. Ale było już za późno nawet na załatwienie karty. To znaczy na załatwienie jej normalną metodą.

Bo w końcu znalazłem sposób. Drobną kruczek w prawie kanonicznym, tryb nadzwyczajny przy Nawróceniu z Objawieniem. Załatwiało to sprawę, tylko że potrzebna była podkładka i protokół z Rekuperacji Nadzwyczajnej. A w Rekuperacji robiła jedna znajoma kumpla, z którym miałem stare układy. Powiedziała, że numer jest do wykręcenia, tylko że ją też kontrolują i musi mieć silną podkładkę. Potem poszłoby wszystko do kontroli wstępów, gdzie znalazłem jednego faceta mogącego przepuścić papiery przez tryb nadzwyczajny i wydać kartę wstępu z puli specjalnej.

Cały problem stanowiła ta podkładka dla Rekuperacji. I tu się już robiło ślisko, ale zaczęło mi się to podobać — nawet nie pomyślałem, w co się ładuję. W końcu, do cholery, połowę każdego dnia spędzałem przy biurku Jego Świątobliwości, który wychodził często i na długo, zostawiając wszystkie stemple na wierzchu. Formularze Protokołu Zdarzenia Cudownego rozdawali w Wydziale Mirakularnym na prawo i lewo, nikt by tego nie był w stanie policzyć. Starczyło przystemplować poświadczenie, podrobić drżący zawijas Jego Świątobliwości i już prawie wszystko.

Został ostatni drobiazg: pchnąć protokół przez główną kancelarię i zaparafować. I to się okazało nie do przeskoczenia. Za ostro ich rozliczali, nikt nie myślał ryzykować tuż przed Nawiedzeniem. Po tygodniu beznadziejnej szamotaniny zważyłem i dałem spokój.

I akurat wtedy zgadało się z Bibolem o jakimś jego kumplu z kancelarii, który starał się o nadprzydziałowy różaniec. Podobno teściowa poczuła na starość bo — jaźń przed ogniem piekielnym i ciosała facetowi kołki na łbie, aż żal. Różaniec załatwić, cholera, niezły numer, nawet komendant główny nie dałby rady. Niczego się tak nie pilnuje jak przydzielania różańców, przysługują, komu przysługują, i koniec. Pewnie, że każdy by chciał mieć, ale co by się wtedy porobiło z moralnością publiczną? Więc o tym facecie Bibol opowiadał po prostu w tonie dowcipu. Szczeka mu opadła, gdy nagle poprosiłem, żeby mnie z gościem skontaktował.

Wypytywał, oczywiście, w szczegóły go nie wprowadzałem, ale czegoś tam się domyślał, bo poklepał mnie po ramieniu i doradził: „Daj se spokój, mały, i porzuć grzeszne związki. Ja tam swojej dupie zapowiedziałem — jeszcze tydzień i odstawka. A pokutę to już z góry wykręciłem, żeby nie na ostatnią chwilę. Ja tam się zamierzam łapać do rajy w pierwszej grupie”.

— A ty to wszędzie porubstwo wężysz, Bibol — śmiałem się. — W nawyk ci weszło, służbisto. Znajoma z rekolekcji i tyle.

No i poszło. Ten facet z kancelarii aż nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Oglądał pięćdziesiąt razy, sprawdzał, ale widać było, że żadnego picu, maszynka pewna jak w banku i sprawna, że Belzebuba by w pół dnia zbawiła.

I to właśnie było najgorsze, że różaniec był absolutnie pewny i czysty. Mój własny. Tak jakoś sobie pomyślałem, że co tam, te parę dni, co zostało, wezmę na wstrzymanie, a później mi i tak nie będzie potrzebny. Potem mi wyjaśniono, co zrobiłem: wyrzekłem się własnego zbawienia, zapałem się wiary dla rudej jawnogrzesznicy tylko dlatego, że mi dogodziła jak żadna inna baba w życiu. Tak przynajmniej zanalizował moje motywacje kapelan i trzeba mu wierzyć; w końcu, do cholery, jest od tych spraw fachowcem.

Kapelan zresztą uczciwy człowiek, chciał mnie jeszcze wyciągnąć. Jest taki paragraf o opętaniu; wiadomo, upadła kobieta, instrumentum diaboli — no, dałoby się załagodzić. Ciekawe, dlaczego się nie zgodziłem. Przecież nie dlatego, że żal mi było pakować ją jeszcze dodatkowo w egzorcyzmy.

Tak jakoś.

Wszystko inne to był jeszcze drobiazg, nawet to sfalszowanie podpisu. Jak sprawa wyszła w rewizji decyzji ostatniego tygodnia — też głupi pech, żesz mać, jakiś palant poknocił coś i

trzeba było wstecz prostować dokumentację, akurat mnie się to musiało zdarzyć — to z początku nie traktowali tego tak ostro. Dopiero jak wyszło, że obiecałem oddać własny różaniec, zaczęły się schody. No i tyle. Bibol załapał się za współudział, bo wiedział i zaniedbał obowiązku konfesyjnego. Gość w kancelarii jakoś się obronił, ale anulowali mu wszystkie dotychczasowe zasługi, a miał sporo uciulane. Też niekiepsko.

* * *

To już zbyt długo trwa. Zbyt długo. Zaczyna się ściemniać.

„Nie ma tu nieczystych, Panie, nie ma tu grzechu, nie ma tu nic prócz miłości i czekania na Twoje przyjście. Zstąp do nas, Panie...” — coraz bardziej przypomina to błagalny skowyt. Pewnie nie ja jeden staram się odsunąć od siebie to szarpiące, natrętne podejrzenie. Miliony wpatrzonych w niebo oczu. I cisza. Cisza jak nigdy i nigdzie. Tylko niemal słysząc, z jaką siłą tłuką się serca. Niemal da się dotknąć zawiste nad błoniami, spotężniałe do granic możliwości oczekiwanie. Panie, przyjdź już... Mam ochotę modlić się razem ze wszystkimi.

Ale myśl wraca, uparta, paląca, coraz silniejsza: a jeżeli nie przyjdzie?

Jeżeli nie przyjdzie... to będzie mogło znaczyć tylko jedno: mimo wszystko byliśmy zbyt pobłażliwi dla grzechu i grzeszników. Zbyt opieszale ich karaliśmy. Powinniśmy nienawidzić grzechu. Powinniśmy nienawidzić bezbożnych, wrogów Pana. I nienawidziliśmy, tak jak nas nauczono. Ale widać za mało, za mało. O Boże, czuję tę wzbierającą w tłumie siłę, tę nienawiść, w jaką skrapla się duszne oczekiwanie. Jeżeli On nie przyjdzie... Biada grzesznikom.

I czuję, jak uginają się pode mną nogi, jak lód wypełnia żyły, a gardło zaciska się boleśnie. Przecież stoję tu, na poświęconych błoniach, ja — grzesznik, który zaparł się wiary.

Przez moment myślę, że wolałbym nie żyć.

Nawet gigantofony milczą. Przyjdź, Panie, przyjdź, zanim któryś z diakonów, purpuratów lub sekretarzy, w panice i rozpaczach dobijających się teraz do terminali teokomputera, otrzyma odpowiedź...

Nagle szarpnięcie za ramię przypomina, gdzie jestem. To Bibol. Bez słowa pokazuje bramę.

Zagapiliśmy się paskudnie. Za bramą nie ma już kordonów policji, nie ma skupionej grupy bezbożnych. Jest długa, zajmująca kilkadziesiąt metrów drogi kolumna prowadzona przez jakiegoś niepozornego człowieka. Wkraczają w otwartą szeroko bramę. Przysiągłbym, że zaryglowaliśmy ją jak trzeba, nie mogli od zewnątrz otworzyć... No ale jest otwarta i właśnie przez nią przechodzą prowadzeni przez tego dziwnego faceta, wyglądającego w każdym calu na wariata. Wystarczy jeden rzut oka — fałszywy prorok. Wzorcowy, jak ze szkolenia. Pierwszy paragraf. Najcięższy z możliwych.

Przestaję myśleć, mięśnie sprężają się instynktownie. Boże, jak dobrze móc działać, prosto, jasno i zrozumiale, dla chwały Twego imienia. Startuję do bramy jak rakieta, zostawiając Bibola w tyle. Dopadam tego żalosego, uśmiechniętego proroka i szarpie go za wszarz.

— Karta wstępu! — ryczę między głupekowato dobrotliwe oczy. Nawet nie próbuje się bronić.

— Przepuść mnie, człowieku — mówi łagodnie. — Tam na mnie czekają. Wołają mnie, słyszę to wołanie.

Zadyszany Bibol dopada go z drugiej strony i powtarza regulaminowy wrzask: „Karta wstępu!”.

— Stój, głupcze! Idioto, stój! — rozpaczliwy, wibrujący głos. Bardzo znajomy głos. Coś przełazi po plecach. Oczywiście ona. Przepycha się przez pierzchający z wolna tłumek grzeszników, dopada mnie z płonącymi oczami pełnymi błagania. Stokroć bardziej pełnymi niż wtedy, w moim mieszkaniu.

— Ty nic nie rozumiesz... — Chwyta mnie obydwoma dłońmi za podniesioną pięść. — Nic nie rozumiecie...

Ale to już nie ten sam ja co wtedy. Nie sposób było stać tak długo pośród tego rozfalowanego tłumu i pozostać takim samym. Poszła won, zdziro — odpycham ją z całej siły i już bez dalszych ceregieli walę na odlew w dobrotliwą twarz grzesznika plugawiącego poświęconą ziemię Nawiedzenia. To przez niego Pan nie przychodzi. Przez niego. Nie przeze mnie.

— Spierdalaj! — ryczę w amoku, tak naładowany, że chyba aż unoszę się o kilka centymetrów nad trawą. — Spierdalaj. Won, kurwa, z poświęcanej ziemi!

Nawet nie próbuje się bronić, słania się tylko, powtarzając:

— Nie broń mi przejścia, człowieku, tam na mnie czekają...

Tego już za wiele. Na niego by mieli czekać, zesz mać, na takiego szmacciarza, żebraka. Obaj z Bibolem ruszamy ostro na chwałę pańską, wynosimy bluźniercę na kopach za bramę. Tłumek już się rozpiechł. Najlepsza metoda na fałszywych proroków, tak mówili na szkoleniach — jak ludzie zobaczą, że ich mesjasz bierze po pysku i nie ma żadnych cudów, od razu nabierają rozsądku.

Stoimy zadyszani w bramie. Dwóch archaniołów z ognistymi mieczami w dłoniach. Tylko ona, przeklęta grzesznica, klęczy nad nim, zanosząc się od szlochu. Zbiera go z drogi jak stertę podartych szmat, podtrzymuje opadającą głowę.

— Wybacz im, Ojczy, bo nie wiedzą, co czynią — słyszę jeszcze. Mało mu było. Zagryzam wargi, ale za bramę przecież nie wyjdę. Pterodaktyl spogląda na mnie przez łyzy. Chciałbym ją zabić. Odkupić swoją głupotę. Zresztą to już nieważne.

A on wstaje powoli, wsparty o ramiona jawno grzesznicy, unosi ku mnie zakrwawioną, zmasakrowaną naszymi butami twarz i mówi pewnym, choć cichym głosem: „Pójdiesz za mną”. Tylko tyle. Odwraca się. Odchodzą powoli pomiędzy strzępami gazet i opuszczonymi stolikami.

Za naszymi plecami wciąż ten napięty w oczekiwaniu tłum. I coś się ze mną nagle dzieje, Boże, nie wiem już co, i chciałbym zedrzeć z siebie mundur i dystynkcje, i biec za tym półgłówkiem, którego sam przed chwilą skopałem, i rzucić mu się do stóp, a jednocześnie czuję, że nienawidzę, nienawidzę całą duszą i jego, i jej, i tego tłumu oczekującego Pana, i sam już nie wiem nic, tak potwornie nic nie wiem, taka pustka dokoła, żadnego światła, kierunku...

I chciałbym nie istnieć, nie czuć, nie widzieć, nie potrzebować zrozumienia, nie umiem tego wyrazić słowami...

I tylko jedno wiem na pewno, że Pan już dziś nie przyjdzie. Biada grzesznikom. Drzę cały, aż mi dzwonią zęby.

— Te, mały, spoko. — Bibol chwyta mnie za rękę, uspokaja jak dziecko. Oddycham głęboko. „Pójdiesz za mną”. Tak jakby to wiedział.

Tak. Jeżeli Pan nie przyjdzie, jeśli trzeba będzie do końca wypełnić grzech na tej ziemi, to pójdę za nim. Trop w trop.

A Pan nie przyjdzie.

Bibol klepie mnie po ramieniu. Ryglujemy bramę. Już lepiej. Przymykam oczy. Już minęło. Już wszystko rozumiem, wszystko staje się jasne i proste, tak jak było przez całe życie. Wiem dokładnie, czego chcesz ode mnie, Panie. Jaką męką stałoby się życie, gdyby nie miał mi tego kto wyjaśnić.

Odchodzą głupie myśli, mija niepokój. Kładę dłoń na różańcu i wsłuchuję się w świergot mych modlitw rejestrowanych przez teokomputer. I czuję, jak kocham Pana, kocham go z całych sił, tak jak umiem i jak mnie tej miłości nauczono.

„Pójdiesz za mną”.

— Zapal se, mały — mówi Bibol. — Teraz to już na pewno zaraz będzie po wszystkim.

Zaciągam się głęboko.

— Teraz to się nam dopiero zacznie robota, Bibol. Kupa roboty — odpowiadam, kręcąc głową. I w zamyśleniu powtarzam po chwili: — Kupa roboty, Bibol.

1990